

Nostalgia aniola

Chwyciła pogrzebacz w drżące dłonie i poprzesuwała nim resztki drewna wciąż tłącego się w kominku. W górę wystrzelił snop iskier. Madeline zadrzała. Na sali było strasznie zimno. Wsunęła mieszek do kominka, aby podsycić płomień.

Zaczęła pocierać zziębnięte dłonie. Jej oddech był drżący i nierównomierny.

-Sam?- wyszeptała w kierunku tłących się drew.

Za sobą usłyszała szurnięcie. Zerwała się na równe nogi i zaczęła nerwowo się rozglądać.

-Maddy?- rozległ się cichy szept.

Dziewczyna odwróciła się. Płomień zaczęły się formować w tak wytęskniony przez nią kształt. Na jej oczach ogień przybierał kształt ludzkiej sylwetki. Postać była pochylona, skrzyżowane ramiona miała złożone na piersi. Była na klęczkach.

Madeline nieśmiało wyciągnęła dłoń przed siebie. Języki ognia przesuwały się leniwie po jej palcach, nie parząc jej. Postać podniosła pochyloną dotąd głowę.

Delikatnie postrzępione włosy wiły się wzdłuż kości policzkowych i linii szczęki.

Chłopak miał wyraziste rysy twarzy. Pod długim prostym nosem miał pełne,

kształtne usta. Wysokie kości policzkowe podkreślały oczy o głębokim i

przenikliwym spojrzeniu. W tym miejscu płomień przybierały zielonkawy odcień. Ostry podbródek nadawał jego obliczu arystokratyczny i dobroduszny

zarazem wyraz. Uśmiechnął się ciepło. Dziewczyna wyciągnęła dłoń w jego

kierunku. Ogniste ramię odkleiło się od jego idealnego torsu, po czym ich palce się splotły. W tym momencie jego dłoń zaczęła powlekać się skórą. Na płomienistych

palcach wyrosły paznokcie. Kolejno pojawiły się nadgarstek, przedramię i bark.

Pod mięśniami widać było cienkie żyły pulsujące czystym światłem. Następnie

zmaterializowały się brzuch i klatka. Z płomieni wychynęła cudowna twarz.

Głębokie, ciemnozielone oczy zmierzyły ją ufnie, a na usta wstąpił wyraz czułości.

Włosy miał delikatnie rozwiane gorącym podmuchem. Kark, barki i plecy

wynurzyły się, odsłaniając olbrzymie, świetliste skrzydła. Chłopak był odziany

jedynie w przepaskę na biodrach, sięgającą do połowy uda. Podniósł się z klęczek,

opierając się na jednym kolanie, postawił śmiały krok poza kominek.

-Tęskniłaś?- zapytał, rozwierając dla niej ramiona. Madeline rzuciła mu się w

objęcia. Sam przyciągnął ją do siebie jak dziecko, jedną ręką podpierając ją w talii,

a drugą przytrzymując jej głowę. Dziewczyna wtuliła się w jego rozgrzaną pierś.

Chłopak roześmiał się serdecznie.

-To lepsze niż modlitwa- szepnęła łagodnym tonem.

-Masz rację, o niebo lepsze- odparł głaszcząc ją po policzku.

Madeline zrozumiała tę subtelną aluzję.

-Twój głos jest rozkoszny, ale to i tak nieporównywalne z trzymaniem cię w

ramionach- szeptał jej. Jego ciepły, kojący baryton pieścił uszy. Ciało wciąż miał

nienaturalnie rozgrzane. Maddy przeszył przyjemny dreszcz. Chłód natychmiast ustąpił.

-Tak mi... ciepło- westchnęła.

Sam odetchnął głęboko, wtulając twarz w jej przerzedzone, ciemne włosy. Jego własne, oliwkowe, okalały teraz także jej twarz. W kąciku jego oka pojawiła się srebrzysta łza.

-Czy to już?!- spytała z nadzieją w głosie- zabierzesz mnie stąd Sam?

Łza spłynęła mu po policzku. Nie chciał teraz podejmować tego tematu.

-Sam?- szepnęła, ale jej głos zadrżał.

-Ćśś.... sza, kochanie- szeptał uspokajająco- będę przy tobie...

Maddy załkała- Ile jeszcze mam czekać?!- jej wychudzonym ciałem wstrząsnął szloch. Poczwała jak krople kapią na jej twarz. Sam płakał, jego usta drżały, a oczy wyrażały bezgraniczną frustrację. Przycisnął ją mocniej do siebie.

-Musisz być silna- powtarzał drżącym głosem- bądź silna...dla mnie.

Słone krople utrudniały jej widzenie. Chciała je zetrzeć brzegiem lewej dłoni, ale uniemożliwiła jej to kroplówka, którą musiała przytargać ze sobą aż z oddziału onkologicznego. Miała szczęście, że pielęgniarki nie przyłapały jej, kiedy wymykała się do sali dla gości. Po godzinach odwiedzin ziała ona pustką. Sam ujął jej drobną twarz w dłonie i scałował łązy z jej policzków. Madeline przyłgnęła do niego całym ciałem, a on złożył na jej ustach głęboki, namiętym pocałunek.

-Bądź silna, dla mnie- powtórzył z mocą.

Kolejny pocałunek był dłuższy, bardziej słodki, tak pełen żalu i tęsknoty. Madeline jęknęła cicho. Serce Sama przeszło w dziki galop.

-Musisz być silna...dla mnie... za bardzo cię kocham... by móc bez ciebie żyć... by móc cię stracić...za bardzo cię pragnę... za bardzo... za....bardzo...- szeptał w przerwach na oddech, wzdychając przy tym ciężko. Spojrzał na nią żałośnie, próbując zatuszować swoją desperację.

-Przecież wiesz, że nic mi już nie pomoże- Maddy pogładziła pocieszająco jego policzki- tęskniłam za tobą... chcę, żebyś mnie stąd zabrał... jesteś moim Aniołem Stróżem, wstaw się za mną...wszędzie wokół widzę te puste oczy... bez nadziei... chcę już zawsze spoglądać tylko w zieleń...

-Nie mów tak - przerwał jej.

- Wiem to trudne, ale... niezbadane są ścieżki Pana...- zdobył się na blady uśmiech. Madeline posłała mu zbolałą minę. Ścisnęło mu się serce, zdobyłby się na wszystko, byle tylko ulżyć jej w cierpieniu. Ale on znał prawdę, jeśli Maddy umrze, wcale nie czeka ich wieczność... on został poczęty z ognia, był obdarzony częścią jej duszy, to dlatego tak dobrze ją znał, lecz jedno bez drugiego nie ma prawa bytu, u Pana nie był jej już potrzebny, jego ogień po prostu się wypalił, jego światło... zgaśnie, teraz jeszcze się tli... jak płomień świecy, goreje... ale ona nie wie. Był o tym święcie przekonany. Nie wie i się nie dowie. Tego zamierzał się

trzymać. Będzie trwał przy niej, tyle ile Bóg pozwoli, a potem... pozwoli jej odejść... bezcielesna egzystencja nie mogła być w końcu taka zła. Wziął głęboki oddech.

-Nie mówmy teraz o tym- zaproponował.

Wyczerpana Madeline ziewnęła i przytuliła się do Sama jak do poduszki. Pogłaskała ją opiekuńczo po głowie, nie chciał, by czymkolwiek się martwiła.

-Pora spać skarbie- szepnął- odprowadzę cię do łóżka.

Rozłożył szeroko swoje olbrzymie skrzydła, zakrywając nimi siebie i ją. Sprytnie wykorzystał starą sztuczkę. Każdy człowiek mógł zobaczyć tylko swojego Anioła- działało się to zazwyczaj wtedy, gdy jego dusza łączyła się z Panem. Anioł przejmował rolę przewodnika. Sam uśmiechnął się pod nosem - o tak, nagiął teraz zasady, ale zbyt wiele go to kosztowało, by się tym w tej chwili przejmować. Był po prostu zakochany. Pod płaszczem jego skrzydeł Maddy była niewidoczna.

Trzymając ją pod ramię, wyszedł na korytarz. Madeline ziewnęła głośno.

-Ćśś- upomniał ją- nie widzą cię, ale wciąż mogą cię usłyszeć. Pomimo późnej pory wielu pacjentów jeszcze nie spało. Wychudli, łysi ludzie snuli się jak cienie, kaszląc i zawodząc. Objął Maddy opiekuńczo, chcąc ją odgradzić od tego widoku.

-Niezbadane są ścieżki Pana - pomyślał, widząc pięcioletniego chłopca w podobnym stanie. Zatrzymał się pod drzwiami sali 216. Były one uchylone, a zza nich dało się słyszeć rozdierający płacz. Wyszedł przez nie przysadzisty lekarz po pięćdziesiątce, wraz ze starym, szczapowatym mężczyzną o purpurowej twarzy. Facet zmierzył lekarza nienawistnym wzrokiem.

-To była moja córka, moje jedyne dziecko, ostrzegałem pana...Jego głos drżał z emocji.- Ostrzegałem pana!- ryknął wściekle- moje dziecko!- cały posiniał, a do oczu napłynęły mu łzy.

-Bardzo panu współczuję- odparł lekarz opanowanym tonem. - Przykro mi, ale nie byliśmy w stanie jej pomóc...

Sam schował się w załomie korytarza, ciągnąc za sobą Madeline.

-To pana wina!- ryknął mężczyzna, wyciągając oskarżycielsko palec.

Przybrał obronną pozę, tak jakby zabrakło mu argumentów, po czym zerwał z głowy wytarty kaszkiet i cisnął nim o ścianę.

-Zapłaci pan za to!- zakończył i oddalił się korytarzem, drżąc na całym ciele.

Drzwi znów się otworzyły.

- Musi pani już iść, pani Newman- powiedział drugi lekarz, starszy, siwy mężczyzna, prowadząc pod ramię tęgą kobietę. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest w hysterii. Zajął się nią zwawa pielęgniarzka, szepcząc coś uspokajająco.

- Zgon nastąpił o 1:34- powiedział starszy lekarz, przeglądając karty skoroszytu.

Dzisiejszej nocy był wyjątkowo sterany.

-Alice Newman miała dopiero 17 lat- westchnął drugi, po czym przetarł sobie czoło ręką fartucha.- To było jedyne dziecko Kevina Newmana, potworna strata, ja

nie potrafiłbym żyć z czymś takim. Newmanowie to porządni ludzie, dlaczego właśnie ich musiało to spotkać ?

Sam spojrzął przed siebie, na krzyż, z niemym pytaniem wypisanym na twarzy- dlaczego to robisz? Wiedział, że i tak nie otrzyma odpowiedzi.

-Ja będę następna- szepnęła Madeline, sennie przecierając powieki.

Chciał zaprotestować, ale głos uwiązł mu w gardle. Przygarnął ją tylko do siebie, chcąc odgrodzić ją od rzeczywistości. Chciał, by w jego ramionach czuła się bezpiecznie. Przez drzwi wjechało łóżko polowe, pchane przez dwóch pielęgniarzy w białych fartuchach. Na nim leżała Alice, jej ciało było nakryte prześcieradłem. Zapewne wieźli ją teraz do kostnicy.

Po całej placówce kręciły się pielęgniarki w białych uniformach. Oddział onkologiczny, drugie piętro. Mozolnie przeciskali się przez masy ludzi, najpewniej pacjentów i ich krewnych. Wspinał się po schodach, usiłując nikogo nie potrącić. Drugie piętro w porównaniu do pierwszego i parteru wydawało się wyludnione. Pacjenci jak zwykle snuli się zmęczeni szarą rzeczywistością. Gdzieś krzątały się poszczególne osoby. Po ich twarzach było widać, że starają się ukryć zakłopotanie i poczucie beznadziei. Dla nich ci wszyscy ludzie byli już skreśleni. Nikt by się raczej nie przejął, gdyby to piętro przerobiono na hospicjum. Tu każdy się z tym liczył. Westchnął. Kiedy patrzył na tych ludzi, żyjących na kredyt, którzy na domiar złego w pełni zdawali sobie z tego sprawę, boleśnie ukłuło go sumienie. Dobrze wiedział, jak to jest żyć z wyrokiem. Piekło wcale nie kryło potwornych tajemnic, jakby się niektórym mogło zdawać. Piekło kryło się tu, na ziemi. W tym małym, zapomnianym szpitaliku. Zapomniany, usunięty, niechciany element tego paskudnego świata. A jednak zdecydował się tu zostać. Brak nadziei, brak wiary w cud. Nawet krzyże na ścianach milczały ponuro, zawstydzone swą bezużytecznością. I gdzie w tym wszystkim był Bóg? Owszem, oni wszyscy trafią kiedyś w zaświaty, do raju bądź w nicość. A on sam, jak wszyscy jego pobratymcy, obarczony funkcją rajskiego Charona, z góry skazany na śmierć. Bez nadziei na wynagrodzenie za wierną służbę. Nawet niewyobrażalne cierpienie było lepsze niż bezemocjonalna egzystencja. Zwłaszcza, jeśli można je ofiarować komuś, kto znaczy dla ciebie więcej niż życie, komuś, kogo się kocha. Miłość Boga dawała jedynie ciepło, osobiwie nikłe w swojej prostocie. Nie zamieniłby swojego, i tak już przypieczętowanego losu na żaden inny.

Odnalazł drzwi do właściwej sali. Wszystko stało tak jak je zostawili, na swoim miejscu. Jediną różnicą było puste łóżko pod ścianą. Podeszedł bliżej. Jedinie ta wstrętna tabliczka „ Madeline Jenkins”. Madeline usiadła i podparła się niezgrabnie.

Starsza kobieta po jego prawej chrapnęła głośno. Odwrócił się w jej stronę. Na półce miała średniej wielkości album. Sam podeszedł bliżej. Otworzył album na pierwszej stronie. Było tam zdjęcie kobiety i małej dziewczynki. Dziecko z

radosnym uśmiechem obejmowało swoją babcię. Tak przynajmniej wynikało z opisu. Fotografia była obramowana aureolą kwiatków namalowanych świecowymi kredkami. W kobiecie ze zdjęcia rozpoznał tę, której chrapanie przykuło jego uwagę. Przewrócił kartę. Na następnym zdjęciu ta sama dziewczynka trzymała w dłoni sporej wielkości kasztan. Obok taśmą przyklejono kilka jesiennych listków. Następną kartką była sztywniejsza. Doczepiono do niej kopertę. Wyciągnął jej zawartość i uważnie zlustrował znalezisko. Rysunek wykonało dziecko, zapewne ta mała dziewczynka. Był tam doktor ze strzykawką, w białym fartuchu. Wokół postaci kłębiły się kolorowe potworki z mackami i zębiskami. Niektóre z nich miały skrzydła. Pod spodem, drżącą, dziecięcą rączką wypisano: „Wracaj do zdrowia Babciu. Kocham Cię, Twoja Debie”. Rysunek nosił ślady wielokrotnego oglądania- był wygnieciony i pomięty. Po dłuższej chwili Sam dostrzegł coś jeszcze. Gdzieś ślady kredek były punktowo rozmyte. W kilku miejscach papier był dziurawy, jakby wyżarł go kwas. Łzy- pomyślał. Opuszkami palców zaczął badać fakturę rysunku - był nimi przesiąknięty. Za okładką albumu znalazł wetkniętą kartkę. Był to list, z którego wynikało, że kobiecie pozostał niecały rok życia. Chorowała na złośliwego guza mózgu.

Sam wzdrygnął się. Przed oczami stanęły mu zdjęcia małej, roześmianej Debie. Serce ścisnęło mu się z żalu i współczucia dla tej obcej kobiety. Dla niej nie było już nadziei. Drżącymi dłońmi włożył rysunek do koperty. Przyjrzał się śpiącej. -Nie pojmuję cię, dlaczego im to robisz?. Czym oni Ci zawinili?! Jak możesz?!- zawołał, spoglądając na krzyż wiszący nad drzwiami. Głos drżał mu z emocji. Odpowiedziała mu głucha cisza. Odłożył album z powrotem na półkę. Z szafy kobiety wystawał róg kartki z biurowego arkusza. Zastanawiał się czy wolno mu tam zajrzeć, po obejrzeniu albumu gryzło go sumienie. W końcu zdobył się na odwagę. Szafka otworzyła się ze skrzypnięciem. Ze środka wysypały się kredki- tego nie przewidział. Po zderzeniu z podłogą pękały na kawałki. Po sali rozniósł się straszny hałas. Właścicielka szafki przetarła sennie oczy i podniosła się do pozycji pionowej. Sam skulił się koło sąsiedniego łóżka. Dopiero po chwili dotarło do niego, że kobieta najzwyczajniej w świecie go nie widzi. Odetchnął z ulgą. Kobieta rozejrzała się, szukając źródła hałasu. Anioł obserwował bacznie jej poczynania. Zapaliła małą lampkę, którą przytwierdziła wcześniej do poręczy łóżka. Jej wzrok padł na rozsypane kredki. Spojrzała z czułością na podniesiony z podłogi kawałek żółtej świecówki. Sam przyglądał jej się z zainteresowaniem, analizując każdy jej gest. Od niedawna obserwowanie reakcji śmiertelników stało się jego pasją. Gestem pełnym sentymentu zgarnęła kolorowe kawałki spod szafki. Nie odłożyła ich jednak do pudełka, tylko rzuciła niedbale na półkę. Odwróciła się na bok i nakryła kołdrą aż po głowę. Szafkę zostawiła uchyloną. Sam otworzył ją szerzej, tym razem delikatnie, aby nic więcej nie wysypać. Pociągnął delikatnie, tym razem za róg kartki, ale coś ją dociskało. Włożył rękę głębiej. Dłonią wymacał coś na

kształt wypchanej szmaty. Wyciągnął i obejrzał to w świetle lampki, której kobieta nie zgasiła. Była to mała laleczka- miała jasne warkoczyki, a ubrana była w różową sukienkę. Uśmiechnięta buzia laleczki przywodziła na myśl letnie popołudnie. Zapewne także była własnością Debie. Wziął z szafki czystą kartkę i odłożył laleczkę tam, gdzie ją znalazł. Drzwiczki szafki zostawił uchylone, nie zgasił także lampki- zostawił wszystko tak, jak zastała to kobieta, kiedy zbierała kredki. Teraz miał już wszystko, czego potrzebował. Uzbrojony w długopis i papier zasiadł przy ogarku świeczki Madeline, a ta obserwowała bacznie jego poczynania. Naskrobał na kartce kilka słów i pobieżnie ocenił efekt. Podszedł do Maddy i wcisnął liścik w jej zaciśniętą dłoń. Przysiadł u wezłowania jej łóżka i w ciszy obserwował dogasający płomień. Wosk skapnął cichym plaśnięciem na podstawkę. Kiedy świeczka zgasła, powietrze wypełniło się słodkawym zapachem dymu i wosku. Podniósł się z podłogi i posłał Madeline ostatnie, tęskne spojrzenie. Powoli zbliżał się świt.

-Do zobaczenia- szepnął.

Jego głos nikał we wszechobecnej ciszy. Rozłożył skrzydła i opatulił się nimi cały. Jego ciało zajęło się płomieniami. Otworzył szeroko oczy. Ogień powoli kurczył się, gasł i znikał. Tylko rzadki podmuch rozchodzący się jeszcze zawierał w swym sercu szept - żegnaj...

NANATO